

Maski, szczepionki i polityka [FELIETON]

Ludzie tłuką się w pociągach, atakują się nawzajem w autobusach, plują na siebie na ulicy, warczą na siebie w sklepach, kancelują się na Twitterze, zrywają ze sobą stosunki. Wszystko o maski. Ale, chwilczkę, co to znaczy? O maski, a zatem, innymi słowy: o to, jakie powinny być granice państwa, jak powinno wyglądać nasze społeczeństwo i jakie są nasze moralne obowiązki wobec innych. Rzeczywiście jest tu o czym rozmawiać – pisze Agnieszka Kołakowska w kolejnym felietonie z cyklu „Dziękuję za zrozumienie”.

„Rozmowa będzie nagrywana, i wszelkie informacje mogą zostać udostępnione różnym ciałom, w tym Ministerstwu Spraw Wewnętrznych”. Tymi słowy zaczyna się każdy z dwóch codziennych telefonów od angielskiej służby zdrowia podczas mojej 10-dniowej kwarantanny po przyjeździe z Francji. Po czym pada pytanie, czy się zgadzam.

Raz zapytałam, co by było, gdybym powiedziała, że nie. Mój rozmówca odparł, że jedynym skutkiem byłaby konieczność wysłuchania jeszcze dłuższego i równie tajemniczego przemówienia i że nic by to nie zmieniło, prócz tego, że pewnie zamiast dzwonić, zaczął przychodzić i walić do drzwi, więc odradza.

Jeśli jednak człowiek się zgadza, po tym wstępie – samym w sobie już długawym – wysłuchuje całkowicie przedawnionego spisu objawów Covida; wskazówek o tym, co robić, gdyby takich objawów doświadczył; i pytań, czy zamówił test, czy otrzymał test, czy zrobił test, czy zarejestrował test, czy odesłał test i czy otrzymał wynik. Tak przez tydzień, aż do chwili, kiedy trzeba zrobić drugi test; wtedy padają te same pytania, dotyczące drugiego. Jakie natomiast były tych testów wyniki – pozytywne czy negatywne – to zdaje się nikogo nie obchodzić.

Po wysłuchaniu przemówienia wspominam zazwyczaj, że spis objawów z mutacją Delta bardzo się zmienił i że podawanie starego jest niebezpieczne, bo człowiek może pomyśleć, że po prostu ma katar, więc kręci się po mieście, bezwiednie roznosząc zarazę. Słyszę wtedy, że tak, wiedzą, wiele osób im o tym mówi, przekażą, ale że nic nie mogą zrobić: muszą odczytać tekst, który im dano. Od początku do końca, nie opuszczając i nie zmieniając niczego. Dzwonią też czasem na komórkę, co na zdrowy rozum mija się nieco z celem: jeśli ktoś wymknął się na spacer, gna autostradą do cioci albo radośnie popija ze znajomymi w barze, raczej odbierze komórkę i powie, że tak, oczywiście siedzi grzecznie w domu. Ale jeśli człowiek nie odpowie, nie dzwonią ponownie. Słowem, absurd.

Mnie ten cały cyrk szczególnie nie przeszkadza. Ale wielu ludzi narzeka, że przypomina to coś z Kafki i że taki nadzór jest nie do przyjęcia. Wielu dostaje ataków furii na myśl, że nawet podwójnie zaszczepieni muszą pokonać ten tor przeszkód; albo że trzeba nosić maski; albo że niektórzy będą chcieli nadal nosić maski, gdy noszenie masek przestanie być obowiązkowe; albo odwrotnie, że ludzie

przestaną je nosić i że maski powinny pozostać obowiązkowe; że kwarantanna, że testy, że coraz bardziej autorytarny rząd, że niedopuszczalna nierówność między swobodami zaszczepionych i niezaszczepionych, że podstawowe swobody gwałcone, że wolności zbezczeszczone, że państwo policyjne, że co pięć minut nowe, sprzeczne wskazówki i reguły, itd itp.

Rzeczywiście reguły wskazówki bywają absurdalne i sprzeczne i polityka wobec Covidu często się zmienia. Tak jest w każdym kraju. Klienci muszą nosić maski; obsługa – nie. W restauracjach trzeba włożyć maskę, żeby pójść zrobić siusiu, ale przy stole już nie trzeba. To po części niekompetencja władz, po części niepewność co do strategii wobec kolejnych mutacji i po części nowe, zmieniające się dane. Nie o to chodzi. Z niekompetencji władz, niepewności co do strategii, panicznego miotania się rządów ani nowych danych nie wynika, że nie ma naukowej prawdy, ani nawet że nic o niej nie wiemy, ani że nauka nic nie znaczy, ani że ludzie nie mogą się posługiwać zdrowym rozsądkiem i zachowywać się odpowiedzialnie. Ale nie wynika też z tych rzeczy, że trzeba znieść obowiązek noszenia masek, ani że instytucje – szpitale, szkoły, uniwersytety – nie mają prawa wymagać od swoich pracowników, żeby się zaszczepili. Słyszę od kolegi na uniwersytecie Stanford, że tam właśnie obowiązuje taki wymóg – dla studentów tak samo, jak dla wykładowców i administracji.

Ale nie o to wszystko teraz mi chodzi. Chodzi o to, że walka między maskowcami i antymaskowcami się nasila, stwarzając nowe podziały polityczne ale też często pokrywając się ze starymi. Odgrywają tu rolę różnice klasowe i polityczne. W Anglii większość konserwatystów mówi: dość tego, państwo nie będzie nam dyktować, co mamy robić; mamy dosyć infantylizacji ze strony polityków, domagamy się wolności

wyboru; rząd musi ufać w nasz zdrowy rozsądek i poczucie odpowiedzialności wobec ryzyka. Jeden komentator rzewnie ale bez większego przekonania wyraża nadzieję, że może staroświeckie zasady grzeczności i dobrego zachowania mogłyby zastąpić groźby i kary.

Niektórzy widzą też w obowiązku noszenia masek niebezpieczeństwo dla liberalnego społeczeństwa, pytając: „Czy naprawdę chcemy pozwolić na to, by kawałek często nieskutecznego, brudnego i niepoprawnie noszonego materiału zastąpił moralną i etyczną debatę na temat potrzeb mniejszości i swobód większości?”. Tak, ja też nie bardzo rozumiem, co to znaczy. Ale tak pisze komentator w konserwatywnej angielskiej gazecie „Telegraph”. Wszystkie przeprowadzone przez tę gazetę sondaże wskazują, że ogromna większość czytelników sprzeciwia się wszelkim dalszym ograniczeniom. Jednocześnie wskazują, że z tą odpowiedzialnością trochę kiepsko: zapytani, czy by się posłusznie izolowali przez trzy dni, gdyby zostali powiadomieni, że byli „w kontakcie” (nikt nie wie, co dokładnie to znaczy) z kimś chorym (albo po prostu pozytywnym) na Covid, tylko 26% odpowiedziało, że tak; 42% powiedziało, że nie, a 32% – że zrobiliby test i zostaliby w domu, gdyby był pozytywny. I to wśród niby konserwatywnych czytelników.

Część angielskiej twardej lewicy – np. związkowcy – domagają się ograniczeń aż do punktu „Zero Covid”. Jednocześnie duże części mniej twardej lewicy, a zwłaszcza lewicowych elit, są sceptyczne wobec lockdownów, masek i kwarantanny – tak samo, jak w przypadku konserwatywnych elit. Na lewicy niektórzy myślą, że rządy ulegają interesom Big Pharma; na libertariańskiej prawicy liczy się wolność i indywidualna odpowiedzialność. Jednocześnie 81% angielskich konserwatystów wierzy, że Wielka Brytania jest krajem wolności i

równości, podczas gdy połowa głosujących na Labour twierdzi, iż jest to kraj rasizmu i dyskryminacji. Gdzie to się mieści w tym równaniu? Nie mam pojęcia.

W US ponoć 86% Demokratów dostało co najmniej pierwszą dawkę szczepionki, ale tylko 45% Republikanów. Szokująca różnica. Można od biedy zrozumieć, że Republikanin o libertariańskich skłonnościach będzie zwalczał ingerencję państwa tam, gdzie jego zdaniem państwo nie ma nic do powiedzenia, ale nie wynika z tego od razu ideologia antyszczepionkowa, ani głupota. Ale potwierdza się: na Fox News można obejrzeć cały szereg długich wywiadów ze szlochającymi rodzinami, opowiadającymi o potwornych ubocznych skutkach szczepionek.

Konserwatywni i libertariańscy antymaskowcy argumentują, że indywidualna wolność jest najważniejsza, jeśli ryzyko jest małe, i że tak czy inaczej we wszystkim zawsze będzie jakieś ryzyko. Lewicowi antymaskowcy krzyczą, że wolność zawsze jest najważniejsza i że ryzyko ich nie obchodzi. (Takie przynajmniej mam wrażenie z tego, co czytam.) Inni – chyba głównie lewicowi i z klas niższych, ale także prawicowi i z klas wyższych, i vice versa – wyją, że na nauce nie można polegać, bo tyle razy słyszeli tyle sprzecznych rzeczy. Jeszcze inni – tu wyraźnie wśród klas niższych i na lewicy – odrzucają wszelkie dane i naukę, twierdząc, że to wszystko jest wyssane z palca. Jeszcze inni – nieliczni klasyczni liberałowie – uważają, że sytuacja pandemii jest wyjątkową okolicznością i mimo swojej niechęci do ingerencji państwa są za przedłużeniem obowiązku noszenia masek w miejscach publicznych (póki istnieje niebezpieczeństwo wyższe niż normalne – jak np. normalne niebezpieczeństwo związane z sezonową grypą) i za

obowiązkowymi szczepionkami. Takie – gdyby ktoś chciał wiedzieć – jest moje stanowisko. Czy to znaczy, że nie ufam zdrowemu rozsądkowi społeczeństwa? Człowieku, rozejrzyj się wokół. Tak, chyba już nie ufam.

Nie biorę tu pod uwagę teorii spiskowych, ekofaszystów (którzy powinni być za noszeniem masek, bo pewnie uważają, że z maskami wydzielamy mniej dwutlenku węgla), wariatów, idiotów i ideologicznych antyszczepionkowców. Nie włączam też w to równanie trudności, jakie normalny człowiek napotyka, gdy stara się czegoś dowiedzieć: w końcu nie można wymagać, by wszyscy czytali pisma naukowe i medyczne. Ani żeby wszyscy rozumieli statystyki. (Ze mną też kiepsko pod tym względem, ale się staram. Na przykład: oczywiście, że coraz więcej szczepionych ciężko choruje i umiera! Im więcej szczepionych, tym większy ich procent wśród chorych. Można to odwrócić i zauważyć, że gdyby nikt nie był szczepiony, nie byłoby wśród chorych żadnego szczepionego. To nie znaczy, że szczepionki nie są skuteczne. To tylko statystyka). Nie wdaje się też w liczne i skomplikowane problemy moralno-filozoficzne, jakie tu zachodzą. (Ale mogę łaskawie niektóre z nich wyliczyć. Na przykład: jaki mamy moralny obowiązek chronienia innych, nawet w sytuacji niepewności? Czy mamy moralny obowiązek dokładania starań, by dotrzeć do wiarygodnych informacji? Czy ignorowanie takich informacji jest moralnym złem? Czy nasze moralne intuicje mają cokolwiek wspólnego z prawem? Itd., itp).

Chcę tylko zauważyć, jak błyskawicznie wszystko to stało się ideologiczne i polityczne. I jak głęboki jest ten nowy polityczny podział społeczeństwa. Ludzie tłuką się w pociągach, atakują się nawzajem w autobusach, plują na siebie na ulicy, warczą na siebie w sklepach, kancelują się na Twitterze, zrywają ze sobą stosunki. Wszystko o maski.

Ale, chwilczkę – napisawszy to, zastanawiam się nagle nad własnymi słowami – co to znaczy? O maski, a zatem, innymi słowy: o to, jakie powinny być granice państwa, jak powinno wyglądać nasze społeczeństwo i jakie są nasze moralne obowiązki wobec innych. Rzeczywiście jest tu o czym rozmawiać. Więc może nie jest to aż tak przerażające? Może nic w tym dziwnego, ani tym bardziej oburzającego? (Nie w pluciu ani tłuczeniu się, tylko w tej ostrości podziałów). To przecież fundamentalne. Jeśli rzeczywiście o te rzeczy się kłócimy – a na to wygląda – to kłócimy się o sprawy najważniejsze. Może to dobrze?

O rasizmie francuskich serów, nowej modzie auto-kancelowania, postkolonialnych komarach i dekolonizacji nazw australijskich ssaków w muzeach – następnym razem.

Agnieszka Kołakowska

Przeczytaj inne felietony Agnieszki Kołakowskiej z cyklu „Dziękuję za zrozumienie”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

